

Jadwiga Mizińska

Katastrofa języka = Ignoble Language

Humanistyka i Przyrodoznawstwo 17, 27-40

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jadwiga Mizińska

Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej
w Lublinie

Maria Curie-Skłodowska University
in Lublin

KATASTROFA W JĘZYKU

Ignoble Language

Słowa kluczowe: język, pragmatyzm, kultura masowa, mentalność pragmatyczna, konsumpcja, trywializacja, znikczemnienie, degradacja, estetyzm.

Key words: language, pragmatism, mass culture, pragmatic mentality, consumptionism, trivialization, ignoble, degradation, aestheticism.

Streszczenie

Artykuł jest współczesnym odniesieniem do tezy Wittgensteina, iż „granice mego języka są granicami mojego świata”. Konsumpcjonizm w połączeniu z liberalizmem oraz kulturą masową prowadzi do merkantylizacji i obiektywizacji świata i człowieka, do mentalności pragmatycznej i odpowiednich form ekspresji, których głównymi wyróżnikami są: ograniczenie człowieka do funkcji ekonomicznych oraz użytkowych. Pociągają za sobą zubożenie i pospolitość słownictwa oraz są związane z ogólną tendencją do trywializacji, np. wulgaryzacji mowy i słowa pisanego, szczególnie rażących w obliczu „estetyzacji życia”.

Wiedzie to do wniosku, że ten estetyzm jest jedynie powierzchowny i niekonsekwentny. Jednocześnie należy przestrzec przed ignorowaniem etycznych aspektów mowy i pisma. Może ono być niebezpieczne ze względu na siłę oddziaływania języka. Stanowi nie tylko formę upodlenia i znikczemnienia, lecz także głębokiej degradacji człowieczeństwa w człowieku.

Abstract

The aim of the article is the modern reference to Wittgenstein's thesis that "the borders of my language are the borders of my world". Consumptionism mixed with liberalism and mass culture leads to mercantilism and objectification of world and man. That implies pragmatic mentality and the appropriate language expression, which main features are: reduction of man to economic and utility functions. This implicates scantiness and coarseness of vocabulary and is also associated with the general tendency to trivialization, e.g. vulgarization of speech and written forms, especially gross in comparison with "life aestheticism".

It leads to an assumption that "aestheticism" is only superficial and inconsistent. On the other hand, ignoring the ethic aspects of spoken and written word can be observed. This phenomenon may be dangerous due to causative power of human words. Degradation and abjection of language not only reflects but also deepens degradation of humanity inside the human being.

Zatrzymaj się, to zdanie się rozpada.

Tomas Venclova

1. Granice świata – granicami języka

Według słynnego twierdzenia Ludwika Wittgensteina, granicami naszego świata są granice naszego języka. Wynikałoby stąd, iż postrzegamy i poznajemy z rzeczywistości tylko to, na co nam pozwala język; język jako sieć pojęciowa, swego rodzaju niewód. Możemy – jak rybacy – złowić w nią tylko tyle, ile się w nią zmieści i tylko to, co się nie przemknie przez jej oczka. W dodatku – jak to się często dziś powtarza – to nie my mówimy językiem, ale język mówi nami.

Podlegamy zatem dwojakiej językowej niewoli. Raz, że rodząc się, od razu go zastajemy w gotowej postaci; przechodzenie od niemowlęctwa do „mowlęctwa” oznacza, iż jesteśmy poniekąd oddawani w jego władanie. Tak zwany język macierzysty, wchłaniany „z mlekiem matki”, przyjmowany jest przez dziecko całkowicie bezrefleksyjnie, z tego też powodu kształtuje on nie tylko sposób wyrażania się i porozumiewania, ale także wyznacza formę, a do pewnego stopnia treści myślenia. W tym właśnie sensie to on „mówi nami”, „mówi przez nas”, niekoniecznie to, co sami autentycznie – tj. od siebie i na własny rachunek – pomyślimy. Juliusz Słowacki, buntując się przeciwko takowej machinalności i natręctwu języka przyswojonego odruchowo i używanego automatycznie, sam zabiegał o to:

aby język giętki wyraził wszystko, co pomyśli głowa,
a czasem był jako piorun jasny, prędki,
a czasem smutny, jako pieśń stepowa.

Przytoczona apostrofa wyraża pragnienie oswobodzenia się od sztywności i schematyczności języka obiegowego, jak też wolę tworzenia – w jego ogólnych ramach – języka prywatnego, zdolnego do wyrażania osobistych i intymnych odczuć, doznań, uczuć i refleksji. Bunt poety przeciwko swego rodzaju aprioryzmowi i nieświadomionemu naciskowi wspólnej dla ogółu siatki językowej jest zarazem wyrazem sprzeciwu wobec zakrzepłości granic takiego świata, jaki jedynie daje się w nią pochwycić i w ogóle pomieścić. Stanowi również dążenie do zsubiektywizowania czy wręcz „sprywatyzowania” owego – wspaniałego, ale i zwodniczego – narzędzia tak, aby mogło ono służyć nie tylko nazywaniu rzeczy podpowiadanymi przezeń imionami, ale też oddawaniu osobistego do nich stosunku. Innymi słowy, byśmy mimo wszystko to my mówili językiem, a nie – on nami!

Natężone u poetów czy, szerzej, ludzi pióra – dla których język jest zarazem i narzędziem, i tworzywem – pragnienie „językowej swobody” wskazuje, że – wbrew Wittgensteinowi – wcale nie musimy pozostawać uległymi „językowymi konformistami”. Możemy zabiegać o choćby minimalną „językową wolność”. Starać się przynajmniej wiedzieć, którą z różnych danych nam do wyboru wersji, możliwych w ramach rodzimego języka, chcemy – z własnego wyboru – się posługiwać. Albowiem w obrębie tego samego ojczystego języka funkcjonuje obok siebie nie tylko wiele odmiennych dialektów i żargonów różniących się słownictwem, ale też wiele różnych stylów mówienia i myślenia. Winniśmy dobitnie zdawać sobie z tego sprawę, szczególnie odkąd przeszliśmy Orwellowską szkołę „nowo-mowy” i wiemy już, że zarówno jej przyczyną, jak i skutkiem jest „dwój-myślenie”. Istotą owej schizofrenii, mowy i myślenia, jest rozdwojenie na wiedzę faktycznie posiadaną przez podmiot oraz wiedzę oficjalnie przezzeń deklarowaną, przy czym pierwsza jest subiektywnie odczuwana i uznawana za prawdziwą, druga natomiast świadomie jej zaprzecza, jest zatem kłamliwa. Lektura *Roku 1984* – która wielu badaczom (takim m.in. jak Michał Głowiński) dała impuls do śledzenia kolejnych meandrów zjawiska „kłamania języka myśłem” – powinna nas uwrażliwić na stale czyhające niebezpieczeństwo tych dwiawiacji. Każda „mowa” może bowiem sprowokować „nowo-mowę”, jeśli przez „mowę” rozumieć ewangeliczne mówienie wprost i jednoznacznie: tak = tak, nie = nie, natomiast przez „nowo-mowę” wykrętne mówienie „tak”, przy równoczesnym myśleniu „nie tak”.

Prototypem fenomenu wykrętności mowy stała się odpowiedź Kaina na zadane przez Jahwe pytanie: „Kainie, gdzie jest brat twój, Abel?”. Kain, który właśnie dokonał bratobójstwa, zamiast przyznać się do zbrodni, zasłonił się pseudoodpowiedzią: „Czyż jestem stróżem brata mego?”. Było to pierwsze ewidentne wykroczenie przeciwko zasadzie mówienia wprost: tak-tak, nie-nie. Nawiasem mówiąc, była to zarazem – jeśli się nie mylę – pierwsza kwestia wypowiedziana w Biblii przez człowieka. Wynikałoby stąd, że dzieje ludzkiej mowy rozpoczęły się od... próby oszukania rozmówcy, którym był sam Bóg! Z czasem pomysłowość ludzka w zakresie nadużywania mowy do najróżniejszych manipulacji jęła przybierać formy coraz bardziej wyrafinowane. Czynili tak zwykli, przestraszeni lub skonformizowani ludzie, ale nie stronili od niej także sami poeci, ilekroć zaprzęgali swoje pióra na służbę ideologii czy polityki, o czym świadczyć może osławiona i złowróźbna fraza Włodzimierza Majakowskiego: „Mówimy Partia, myślimy Lenin”. Te cztery słowa to istny wzorzec dwójmyślenia, za który zresztą ich twórca odpokutował rzekomo samobójczą śmiercią.

Do Wittgensteinowskiej reguły głoszącej, że granice świata są wyznaczone granicami języka, dodać więc trzeba, iż mowa jednoznaczna zakłada istnienie realnego świata i stara się go opisywać; każde jej słowo ma swój realny, rzeczywisty desygnat, natomiast nowo-mowa takowego odniesienia nie posiada. Ktoś,

kto jej używa, zdaje się „mrugać” do słuchaczy: wiemy, jak jest naprawdę, ale udajemy, że widzimy co innego; coś takiego, czego od nas oczekuje budzący lęk podmiot władzy. Jan Chrystian Andersen, którego bajki nasycone są przenikliwymi obserwacjami ludzkiej natury, w *Nowych szatach cesarza* przedstawił mechanizm takowej presji uprzedniego „wiedzenia nad widzeniem”. Handlujący nieistniejącymi rzeczami sprytni hochsztaplerzy oznajmili dworzanom, iż nie mogą ujrzeć szat władcy tylko ci, którzy albo są głupcami, albo źle życzą cesarzowi. Jedynie nieskorumpowane tymi zastrzeżeniami dziecko potrafiło ze zdumieniem i rozbawieniem wykrzyknąć: „Król jest nagi!”.

Powracając do głównego wątku, zauważmy, iż może zachodzić jeszcze i trzecia sytuacja, taka mianowicie, w której nowo-mowa tak dalece wypiera mowę, iż konstruowany przez nią pozór albo przesłania, albo w ogóle zdaje się niwelować rzeczywistość. Nazwać ją należy „językowym zakłamaniem”. Skutki tego zakłamania wiodą do językowej katastrofy. Podczas gdy nowo-mowa i dwójmyślenie – aczkolwiek wyrażają postawę obłudy – dalej pozwalają na odróżnianie prawdy od kłamstwa, to kłamstwo zawarte w samym języku w ogóle tej różnicy nie pozwala dostrzegać. Kłamstwo wbudowane jest bowiem w sam język. Archetyp takowego „kłamania językiem” zdemaskował Czesław Miłosz, pisząc (w wrytym w kamieniu pod pomnikiem poległych gdańskich stoczniovców utworze): „na pomieszanie dobrego i złego”. Można je zinterpretować w ten sposób: nie jest czymś najgorszym zaprzeczenie prawdy, lecz jej pomieszanie z fałszem. Zatem – chaos. Nie tylko epistemologiczny, ale i aksjologiczny. Zwykle fałsz można wykryć, porównując twierdzenie o rzeczy z rzeczą samą, natomiast manipulacja językowa, opierająca się na przywoływaniu rzeczy nieistniejących jako rzekomo istniejących, czyni odbiorców bezradnymi.

2. Rzeczywistość wirtualna – okłamywanie językiem. Niezdolność lekkość języka

Katastrofa językowa czy też, oględniej, katastrofa w języku zasadza się na tym, iż z jednej strony język, zamiast przylegać do rzeczy, jedynie wokół niej krąży, nad nią się unosi, gotów w każdej chwili wymienić się na inny, „politycznie poprawny”, z drugiej (będącej skutkiem powyższego), że rzeczywistość pozostaje nim nie dotknięta, zatem – nieopisana, niejako dziewicza. Język wtedy „nie kłamie myślom” ani też rzeczom, jako że w ogóle nie dotyka, nie „tyczy się”, obiektywnej rzeczywistości, a raczej ją sobą zasłania, zasnuwa; rozpościerając jak gdyby zasłoną dymną, poprzez którą nie widać świata. Chyba to miał na myśli Hamlet, wygłaszając ironiczną kwestię: „słowa, słowa, słowa” – w domyśle puste, jałowe, czcze; do niczego się nie odnoszące, choć pragnące wywo-

łać wrażenie, iż posiadają realne zaplecze. Parafrazując określenie Milana Kundery: „nieznośna lekkość bytu”, analogicznie należałoby na tę okoliczność ukuć inne: „nieznośna lekkość języka”. Nie ma ono wszakże nic wspólnego z upragnioną przez J. Słowackiego „giętkością”. Giętkość, elastyczność służyć ma bowiem wysubtelnieniu opisu rzeczy istniejących; taka elastyczność przyczynia się do coraz to bardziej wnikliwego, subtelnego poznawania adekwatnie wyodrębnionej z gmatwaniny wrażeń – rzeczy. Nadmierna i „nieznośna” lekkość języka stanowi natomiast przejaw jego niewierności światu. Realizuje się ona w dowolnym czy też raczej samowolnym, wykonywanym „na zamówienie” – pod dyktando czyjegoś interesu – projektowaniu rzeczy nieistniejących oraz ich pseudonimowaniu. Z nadzieją, że skoro pojawi się i upowszechni nazwa, wraz z nią pojawi się również wiara w istnienie danego fantomu. Na takim wy-myśłaniu pożądanego (jakkolwiek nie istniejącego faktycznie świata) bazował socrealizm. Jego celem było podstawienie pięknej ułudy w miejsce niepięknej rzeczywistości. Ułudy utkanej z samych tylko słów, które same sobie przypisywały „moc stwórczą”. Jak się wkrótce okazało, za takim ozdobnym parawanem działy się sprawy „brzydkie”, bolesne, dramatyczne, o których nie wolno było głośno mówić. Legislatorzy socrealizmu wydawali się wierzyć, iż to, o czym się nie mówi, istnieć przestaje, natomiast to, co wymyślone, skonstruowane wyłącznie przez przewrotną myśl, powtarzane bez końca, zaczyna istnieć przynajmniej w omamionych ludzkich umysłach.

Jednakże zepchnięta w „ontyczne podziemie” realna rzeczywistość, przesłonięta „rzeczywistością nierealną”, nie tylko nie znikła, ale niejako się „zakonserwowała”. Tomas Venclowa, którego cytatu użyłam w charakterze motta, z okazji przyznania mu w 1991 r. przez UMCS w Lublinie doktoratu *honoris causa* wygłosił wykład, gdzie porównywał ją do zamrożonego w lodowcu cieleśka mamuta. Odwilż sprawiła, iż jęło się ono raptownie rozkładać, wydzielając trujące jady. Podobnie „nie przewietrzana” społeczna świadomość – a tym bardziej podświadomość – w momencie przełamania paraliżującego strachu najpierw eksploduje nagromadzonymi w niej, a tłumionymi wcześniej resentymentami i złymi emocjami. Jest w nich nie tylko nienawiść do tych, co przemocą tłumili prawdę, ale i wstyd, że nie miało się samemu odwagi jej w porę bronić. Bo prawda o nieopisanej, zamaskowanej, przemilczanej rzeczywistości, choć nie wypowiedziana w czas, bynajmniej nie znikła. Wiodąc swoje skryte, podziemne życie, jedynie obrosła w różnorakie animozje. Najdobitniejszym tego przykładem może być sprawa zbrodni katyńskiej; niewykluczone, iż związane z długotrwałymi dziejami jej tłumienia obolałości, narosłe w świadomości wielu Polaków, odbiły się echem przy okazji katastrofy smoleńskiej. Z góry mianowicie założono, że i ta druga miała w istocie podobną, zbrodniczą naturę. Czym prędzej też poczęto – niejako na zapas – ją „odkłamywać”, jakkolwiek analogia była czysto geograficzna.

Tak jak prosty i jednoznaczny, a przez to „twardy” język daje szansę na mówienie prawdy (prawdy w znaczeniu klasycznym, gdzie słowo, wyrażające myśl, trafia w rzecz samą), tak język wykrętny i stąd „nieznośnie lekki” zaciera czy wręcz znosi granice między prawdą a fałszem. Operuje on bowiem na bytach pozornych, urojonych, skonstruowanych, „wykombinowanych”. Wskutek tego jego słowa pasują co najwyżej do owych wykrętnych myśli, ale nie do pozamyślowej rzeczywistości. W tym przypadku nie ma w ogóle miejsca ani na realność, ani nawet na kłamstwo.

Diaboliczny wynalazek pseudorzeczywistości, czyli quasi-świata konstruowanego aktami językowej „woli mocy” czy wręcz „woli przemocy”, jak też uwolnionej od wszystkich realnych odniesień dzikiej fantazji (za czym kryje się partykularny interes określonego podmiotu władzy) zamąca ontologię, epistemologię, a w konsekwencji – powtórzmy – również i aksjologię. O pozornym bycie głosić można jedynie pozorną prawdę, a kwalifikacja w kategoriach dobra – zła w ogóle się takiej sytuacji nie ima. W rezultacie ludzie mają do czynienia wyłącznie ze swoim własnym wy-mysłem, z Kartezjańskim *Fabula Mundi* czy też dzisiejszą jej wersją – Matrixem; z wirtualną quasi-rzeczywistością. Poruszając się po niej sprawnie i operując w niej beztrzesko (jakkolwiek tylko symbolicznie), użytkownik Internetu sądzi, iż tym samym wywiera wpływ na Rzeczywistość. Wpada w zdumienie, a niekiedy i w rozpacz, gdy okazuje się, że realny świat, który pozostawał nieprzychylny jego planom i oczekiwaniom, mimo tych symbolicznych działań, pozostaje niezmienny, nienaruszony. Działania wirtualne przypominają magię albo wręcz baśń, tyle że wypowiedziane w baśni zaklęcie „Sezame, otwórz się” otwiera baśniowe drzwi, natomiast analogiczne działania w tzw. świecie wirtualnym pozostawiają je zatrzaśniętymi – o ile Sezam w ogóle istnieje.

Dramatycznym przykładem językowych matactw i powodowanych nimi nie-szczęść może być znany mi przypadek dorosłej kobiety, która zakochała się w poznanym przez Internet mężczyźnie. „Romans” trwał kilka lat, mężczyzna dawał nadzieję na małżeństwo do momentu, w którym korespondencja (poparta nadsyłaniem licznych fotografii) nie została z jego strony nagle i bez uprzedzenia przerwana. Przez kilka następnych lat kobieta próbowała dociec, czy jej „partner” ją zdradził, czy też może zmarł. Niestety, jej wysiłki spełzyły na niczym, nie mogła bowiem uzyskać potwierdzenia, czy w ogóle istniał pod podanym nazwiskiem. Do dzisiejszego dnia nie wie też, czy ma opłakiwać jego ewentualną śmierć, czy jedynie... swoją naiwność. Podmioty wirtualne mają bowiem to do siebie, że można je powoływać do istnienia w dowolnej liczbie, natomiast nie daje się im wystawić „aktu zgonu”. W pewnym więc sensie istnieją „nieśmiertelnie”, ale – niejednokrotnie – wyłącznie jako byty fikcyjne.

Na szeroką skalę wszyscy bywamy ofiarami identycznego o k ł a m a n i a j ę z y k i e m, takim, dla którego nie da się znaleźć bezpośredniego i namacalnego

odniesienia. Pseudorzeczywistość wirtualna produkuje właściwy dla siebie wirtualny język, nie różniący się od normalnego słownictwem czy składnią, a „tylko” niemożliwością znalezienia dlań realnych i konkretnych, dotykalnych desygnatów. W przypadku stwierdzenia, że zostało się oszukany, reaguje się oszołomieniem, jako że sugerowane przez ów język pewniki są niemożliwe do demaskacji. Dzieje się tak wskutek swoistej „nadprodukcji werbalnej”, kiedy to język swoje symboliczne konstrukty „podaje do wierzenia” w charakterze realnych obiektów.

Wynalazek „rzeczywistości wirtualnej”, którego królestwem są mass media oraz Internet, pociąga przeto za sobą (oprócz wszystkich innych, także i pozytywnych konsekwencji) ogromne możliwości „nadużyć ontycznych”, czyli poddawania tego, co nie istnieje, za istniejące. Tego rodzaju quasi-byty wnoszą do społecznego świata wielki zamęt i obniżają stopień zaufania zarówno ludzi do siebie nawzajem, jak też do samego świata. Najprawdopodobniej takie „przesunięcie ontyczne” przyczyniło się do ostatniego wielkiego ekonomicznego kryzysu. Tak oto machinacje w wirtualnej rzeczywistości uderzają rykoszetem jak najbardziej boleśnie w – bynajmniej przez nią nie zniesioną i „nieprzedawnioną” – rzeczywistość autentyczną.

3. Język znieprawiony

„Przestępstwa językowe” mają wiele wymiarów i objawów. Oprócz nadużyć ontycznych, o których była mowa do tej pory, przybierają one też kształt z n i e p r a w i e n i a j ę z y k a. Z rozmysłem używam tak dobitnego i ostrego określenia na oznaczenie zjawiska, którego już nie da się usprawiedliwić niewiedzą czy naiwnością – jak w przypadku matactw (nie zawsze zresztą zamierzonych) związanych z wciąż nierozpoznanym fenomenem wirtualności.

Znieprawienia języka dokonują także ludzie wykształceni i oświeceni, naukowcy (których stanowczo należy odróżnić od uczonych na tej zasadzie, że ci pierwsi to jedynie wyrobownicy, ci drudzy natomiast – twórcy nauki). Od merytorycznie kompetentnych w danej dziedzinie naukowców wymaga się świadomości metodologicznej, a tym samym – wydawałoby się że również – językowej. Powinni zatem zdawać sobie oni szczególnie mocno sprawę z tego, że budując czy tylko przyjmując gotowe teorie – a wraz z nimi specyficzne aparaty kategorialne – ponoszą odpowiedzialność nie tylko za ich „kreatywność”, wydajność, ale i za sens używanych słów, tudzież za konsekwencje ich praktycznego stosowania w zbiorowym bądź indywidualnym ludzkim życiu. Tymczasem owi „naukowcy” poczynają sobie z językiem całkowicie beztrzesko, jeśli zgoła nie bezmyślnie, nie licząc się z implikacjami narzucanego – przez daną, najczęściej nową i modną, koncepcję – słownictwa.

Sygnalizowane tu zjawisko „znieprawienia języka” pragnę zilustrować językiem, jakiego tzw. nauki społeczne używają obecnie w stosunku do człowieka. Przede wszystkim znika z ich języka samo pojęcie „człowiek”, a razem z nim „humanistyka”, która – wraz z równorzędnym określeniem „nauki o duchu” – jeszcze w wieku XIX oznaczała refleksję nad sprawami ludzkimi. Humanizm, od którego wywodziła się humanistyka, kojarzył się bezpośrednio z humanitaryzmem. Obiekt poznania, jakim był człowiek, jawił się nieodłączny od wartości; pojęcie „człowiek” nie było czymś neutralnym i beznamiętnym, apelowało do „człowieczeństwa”. Wdzierające się na jej miejsce „nauki społeczne” bynajmniej nie są ekwiwalentne „humanistyce”. Człowiek wszak to nie po prostu i nie wyłącznie „istota społeczna”. Pozbawione odpowiedzialności nie tylko przed trybunałem prawdy, ale też sumienia, które to sankcje na refleksję o człowieku nakładają humanistyka i humanizm (co wiąże się z wartościowaniem, a w szczególności z Kantowskim imperatywem kategorycznym), owe „nauki” pozwalają sobie na swoistą antropologiczną swawolę. Bez najmniejszych skrupułów dokonują na człowieku przeróżnych zabiegów „pomniejszających”, na kształt tych, jakie czyniły archaiczne plemiona „pomniejszaczy głów”. Trend ów rozpoczęli behawiorysty, ogłaszający swoją naukę „psychologią bez psychiki”, a człowieka traktujący jako „czarną skrzynkę”. Dało to zaczątek trwającej po dziś dzień tendencji do „naukowego” opisywania człowieka poprzez eksperymenty na psach, szczurach, małpach czy maszynach liczących. Nie przez samo czynienie analogii, ale przez utożsamienie owych biologicznych czy mechanicznych obiektów z człowiekiem samym. Całkiem ostatnio metaforyka zwierzęca i maszynowa zdominowana została przez ekonomiczną. Nie ma już dziś w naukach społecznych człowieka, nie ma ludzi... W zamian mówi się o „zasobach ludzkich”, „ludzkim potencjale”, „ludzkim kapitale” etc.

Polityka społeczna, zdrowotna, jak też – o zgrozo! – polityka kulturalna, oświatowa czy też tzw. edukacyjna natychmiast bezrefleksyjnie podchwytuje takowe językowe „nowotwory” i zaczyna nas, żywych ludzi, traktować w takich nieludzkich, wyłącznie ekonomicznych kategoriach. Władza i jej administracja czuje się przez owe „nauki” uprawniona do tego, aby postępować z nami jak z anonimowymi, bezosobowymi – a tym samym b e z d u s z n y m i – przedmiotami mającymi wykazywać się wyłącznie funkcjonalnością, wydajnością, opłacalnością. W przeciwnym wypadku – pozbawionymi prawa do korzystania z „dobroziejstw” gospodarki rynkowej, wręcz z nich wykluczonymi jako „wybrakowane” jej odrzuty. Co zdumiewające, niemal nikt ze środowiska akademickiego nie opouje przeciwko takiemu odczłowieczeniu języka nauk o człowieku, który w glorii swojej „naukowości” odbiera nam wszystkie atrybuty gatunkowe. Na czele z duchowością, będącą przesłanką godności, a nawet z prawem do indywidualnego, krytycznego myślenia, nakazującego protest przeciwko tym degradującym człowieka i człowieczeństwo manipulacjom i brutalnym nadużyciom.

Spostponowany dziś marksizm i niemodny już egzystencjalizm, aczkolwiek wychodziły z różnych przesłanek, były filozofiami upominającymi się o ową godność. Wyrazem tego było pojęcie alienacji, stanowiące jednocześnie probierz i narzędzie krytyki społeczeństwa godzącego w wartość autentyczności człowieka i jego pełnię, które miały się dokonywać przez samorealizację.

Samorealizacja, samourzeczywistnienie się człowieka – według własnych jego pragnień – ustąpiło obecnie miejsca „proceduralizacji”, czyli konieczności bezwzględnego podporządkowania się jednostek bezosobowym i bezwyjątkowym procedurom. To owe, ustanawiane przez instytucje, procedury mają jakoby wcielać racjonalność. Współcześnie – mimo iż taka alienacja dochodzi w nich do apogeum – samo jej pojęcie zostało dokumentnie zapoznane. Nie bez kozery wyparte z języka. Wygląda na to, iż uwiedziony i otumaniony owymi językowymi gramami „ nauk społecznych” człowiek dzisiejszy wstydy się... być człowiekiem. Woli być wszystkim innym: maszyną, szcurem, małpą, psem, „samcem alfa”, zbiornikiem hormonów, feromonów, adrenaliny, cyborgiem. Nie kwestionując istotnego udziału w tym procederze od-człowieczania człowieka okoliczności bytowych, trzeba obciążyć za nie winą także świadomość. Czy raczej – rodzaj bezwładu świadomości językowej, jaka przywala i pomaga w zapomnieniu, iż człowiek to... człowiek nierozmieniały na swoje funkcje czy role; niesprowadzalny do niższych szczebli bytu, a już zwłaszcza bytu przedmiotowego!

4. Szpetota i prostactwo języka codziennej „komunikacji”

„Niewola językowa” w stadium liberalnego konsumpcjonizmu przyjmuje formy spotęgowane, jakkolwiek zazwyczaj nieuświadomiane. To już nie zwyczajna zależność od języka macierzystego, który oferuje nam takie a nie inne słownictwo i system gramatyczny. Na ów język naturalny (przekładalny na inne, także naturalne, „obce” języki) nakłada się język przemyślnie skonstruowany, sztuczny; przeniknięty własną, partykularną (jak zwykle) ideologią „język nauk społecznych”, powołujący się na niepodważalny jakoby autorytet „naukowej metodologii”. Zwulgaryzowany przez mass media i służbistą publicystykę sugeruje, iż w gruncie rzeczy człowiek to... nie człowiek! A jeśli raz jeden odstąpi się od tej tautologii, to wszystko wydaje się dozwolone. Można wówczas mówić o społeczeństwie jako o „wyścigu szczurów”, a o człowieku jako o „nagiej małpie” oraz – powtórzmy – „samcu alfa”, „cyborgu”, „potencjale”, „zasobie”, „kapitale”, kierowanym w swym zachowaniu „adrenaliną”, „feromonami”, „kodem genetycznym”.

Nic dziwnego, że taki „stwór człekopodobny” na co dzień posługuje się językiem prostackim, zbrutalizowanym, pełnym przekleństw, złorzeczeń i inwektyw, objawiającym całkowity brak szacunku zarówno do innych, jak też do samego siebie. Nazywam go *językiem zdegradowanym*, jako że jest on wyzuty z szacunku i miłości do *języka macierzystego*. Wprawdzie czerpie z niego pewien ciągle niezbędny, choć bardzo ubogi zasób słownictwa, ale i z nim poczytna sobie po swojemu, nadając poszczególnym pojęciom zwykle zubożone i spłaszczone treści. Jest on używany głównie do komunikacji, a termin ten – zauważmy – zrobił ogromną karierę. Pojęcia „komunikacja” używa się wszędzie tam, gdzie przedtem było inne: „porozumiewanie”. Bo w rzeczy samej współczesny kod rozpowszechniany przez „komunikatory” bynajmniej nie jest nastawiony na porozumiewanie się ludzi między sobą. Po-rozumiewanie zakłada wszak rozumność, a ponadto chęć wzajemnego wnikięcia w postawę i motywy drugiej strony, komunikowanie zaś zadowala się jedynie werbalnym wygłaszaniem „komunikatów” podawanych „odbiorcom” do biernego, bezkrytycznego przyswojenia i rozpowszechnienia. Paradygmat porozumiewania się oparty jest na doszukiwaniu się wspólnoty myślenia i doświadczenia, gdy tymczasem paradygmat komunikowania – na manifestowaniu egocentrycznej i narcystycznej postawy podmiotów istniejących obok siebie. Ewentualnie – na podawaniu do biernego odbioru pakietów bezosobowej informacji.

Bezduszna kultura generuje adekwatny dla siebie sposób językowego obcowania. Mimo iż w liberalizmie celebrytuje ona indywidualizm, w gruncie rzeczy sprzyja on wszelkim odmianom konformizmu. Nie wymaga, nie kładzie nacisku na potrzebę zabiegania o indywidualny, osobisty, niepowtarzalny styl mówienia, po którym można by było rozpoznawać, „kto mówi”. Preferuje raczej „styl” bezosobowy, co szczególnie wyraźnie widać w rozprawach akademickich, kiedy dostaje się do recenzji tom prac zbiorowych nieznanymi autorów, choć są one hiperpoprawne, można by pozamieniać nazwiska, gdyż teksty rzadko noszą piętno osobowości. Mimo zaprowadzenia demokracji, ma dziś miejsce zjawisko odindywidualizowania języka. Przejawia się ono z jednej strony właśnie w bezstylowości (wszyscy piszą i mówią prawie identycznie), z drugiej – w zaniku językowego smaku. To drugie wyraża się w niewrażliwości na potrzebę zdobycia się na „język prywatny”, niepowtarzalny, trudny do naśladowania; taki, jaki cechuje prace Tadeusza Kotarbińskiego, Leszka Kołakowskiego, Zygmunta Baumana. Oczywiście, rzecz nie w specjalnym sileniu się na oryginalność za wszelką cenę (te próby zresztą również kończą się zwykle identyczną sztancą), ale w trosce, żeby starać się mówić i pisać po swojemu i od siebie. Odindywidualizowanie, odpersonalizowanie języka zaprzęgniętego w służbę codziennej „komunikacji”, a zawłaszczzonego przez mass media, powoduje jego podatność na wszelakie językowe niechlujstwo. Przejawia się ono głównie jako brak troski o jego estetykę, nie mówiąc o pięknie. Przykładem podatności na wślizgi-

wanie się doń zbędnych i niczego do treści nie wnoszących wtretów, które – będąc anonimowego pochodzenia – rozpleniają się bez ograniczeń za pośrednictwem także anonimowych „komunikatorów”, niech będzie coraz częstsza obecność – również w tekstach pisanych! – wyrażenia „powiem tak”, po którym na ogół następuje jakiś banał. Przeczy to nie tylko zasadzie ekonomii, bo jest zgoła puste; świadczy też o braku kontroli nad dramaturgią tekstu – czytelnik spodziewa się po takiej zapowiedzi rewelacji, a w zamian otrzymuje trywialną informację.

Oprócz takich „retorycznych” wtretów, niedowład poczucia smaku objawia się w nieodporności na przeliczne postaci językowej tandety. Zaśmiecają one polszczyznę, są swego rodzaju językową makulaturą, przy czym część z nich pochodzi z różnorakich – młodzieżowych czy przestępczych – slangów, część z języków obcych, bezmyślnie kalkowanych. Przodują tu anglicyzmy, przypuszczalnie mające dodawać splendoru tym, którzy za ich pośrednictwem demonstrują swoją „światowość”. Szczególnie wyraźnie widać to w nazwach firm, w rodzaju „Tadex” czy „Budimex” (młodzież mówi zaś „na topie”, „plis”, „na spidzie”, „dedłem”). Można to złożyć na karb odwiecznej u Polaków skłonności do makaronizmów, lecz dziś to także wyraz pretensjonalności i zwykłego „małpowania”. Zadziwiający jest przy tym fakt, iż świadoma niechęć do niedawnych wpływów specyficznego „języka sowieckiego”, wyrażających się w tzw. skrótowcach (jak komsomoł, polrewkom), nie owocuje dystansem i poczuciem śmieszności, gdy w to miejsce tworzy się podobne, tyle że wzorowane na „amerykanizmach”.

Niezależnie od nasycenia języka owymi neomakaronizmami, uderza również niesłychana jego wulgaryzacja. Polega ona na agresywnym wtargnięciu „brzydkich wyrazów”, a co więcej – na zaniku poczucia ich brzydoty i niestosowności. Jest to tym bardziej zadziwiające, iż dzieje się równoległe z procesem tzw. estetyzacji życia. Owa estetyzacja obejmuje głównie kwestie upiększania własnego wyglądu, jak też najbliższego otoczenia. „Bycie ładnym”, zadbanym, eleganckim, pachnącym, modnym poczytywane jest za rodzaj imperatywu kategorycznego. Jednakże ów obowiązek ładności czy wręcz śliczności, dotyczący „opakowania”, nie rozciąga się ani na sposób zachowania, ani – w najmniejszym stopniu – na sposób wyrażania, mówienia, dobór i bogactwo słownictwa, jego subtelność, urodę, a nawet poprawność. W rezultacie nierzadko mamy do czynienia ze „zgrzytem estetycznym”, kiedy to urodziwa – wystylizowana i wystrojona według najnowszego żurnala – dziewczyna, otwierając usta, wyrzuca z nich słowne „bluzgi”. Ani ona sama, ani jej rówieśnicze otoczenie nie zdaje sobie sprawy z niespójności ideału „glamour”.

Prostackto, ordynarność i szpetota języka codziennej „komunikacji” nie jest dziś kwestią złego wychowania, prezentują ją bowiem także osoby z tzw. świecznika, ludzie władzy, a nawet nauki i kultury. Można wśród nich – osób o wyższym,

ponadprzeciętnym stopniu autorefleksji – zaobserwować pod tym względem specyficzny rodzaj snobizmu; specyficzny, jako że tradycyjnie snobizm przejawia się w naśladowaniu wyższych klas i warstw społecznych, zatem – na chęci dorównania elicie przez masy, a nie odwrotnie. Tymczasem, gdy chodzi o język codzienny, osoby o wyższym wykształceniu, odcytaniu i kulturze z upodobaniem posługują się przekleństwami, wulgaryzmami i wszelkimi innymi „brzydkimi wyrazami” zarezerwowanymi dotąd dla „społecznych dołów”. Jeszcze w roku 1965 wybitny językoznawca, Zenon Klemensiewicz, mógł pisać o „higienie językowego obcowania”, piętnując „językowe chamstwo”¹. Referujący jego poglądy Mirosław Żelazny, podnosząc kwestię wulgaryzmów, jest dla nich o wiele bardziej tolerancyjny. Natłok wulgaryzmów wyjaśnia w ten sposób, iż to, co za wulgaryzm było uważane i jako takie onegdaj budziło odruch wstrętu i niechęci, z czasem „ztraca pierwotny sens i wyrażające go słowa odrywają się od swego znaczenia”². Swoją wywód na ten temat autor gęsto ilustruje przykładami, od których – mimo iż opatrzone są cudzysłowem – puchną uszy. Taka „uczona tolerancja” wobec językowej brzydoty (która wskutek swojej powszechności bynajmniej nie przekształca się w urodę), demonstrowana także przez niektórych teoretyków czy nawet filozofów, sama w sobie domaga się wyjaśnienia. Z pewnością teoretyk ma obowiązek śledzić przemiany języka także pod kątem estetycznym i wskazywać na przemiany i relatywizację norm językowych i obyczajowych, jednakże estetyka nie jest czymś samodzielnym, autonomicznym, oderwanym od etyki. Warto pod tym względem trzymać się doświadczenia potocznego i jego mądrości zawartej w takich powiedzeniach jak chociażby: „w ładnym ciele cnoty niewiele”, „nie wszystko złoto, co się świeci”. A choćby nawet ciągle jeszcze funkcjonującego odróżniania „brzydkich wyrazów” – brzydkich tak w sensie estetycznym, jak i moralnym.

Uwolnienie języka od kanonów moralnych i etycznych wydaje mi się wyjątkowo groźne. Poza tym, że nie powinien on oddawać się na usługi kłamstwa, oszustwa, oszczerstwa, manipulacji (bo wówczas godzi w dobro nie tylko adredata, ale i nadawcy), język sam sobie winien nakładać wysokie standardy. Jest on wszak istotną i niezbywalną częścią kultury, ma ją wyrażać w aktualnej postaci (tak jak dzisiejsza masowa kultura demonstruje się w zwulgaryzowanym i sprymitywizowanym „masowym języku”), tudzież zobligowany jest do chronienia językowej tradycji, odróżniającej język arystokracji od języka gminu i plebsu. Po wtóre, nie wolno dopuszczać do zapomnienia tej prawdy, iż „nie ma niewinnych słów”. Poza swoim odniesieniem rzeczowym, nadzorowanym przez kryterium prawdziwości, tak poszczególne słowa, jak i całe z nich złożone wypowiedzi posiadają swoje odniesienia moralne. To znaczy, że mogą spowodować

¹ Z. Klemensiewicz, *Higiena językowego obcowania*, „Język Polski” 1965, z. XLV, s. 3.

² M. Żelazny, *Estetyka filozoficzna*, Toruń 2009, s. 269.

cierpienie osób nimi dotkniętych, obrażonych, napiętnowanych. Remigiusz Napiórkowski przestrzegał swego czasu:

Słowo, chociaż nie jest z glazu,
Może zmiażdżyć kości.

Istniały zawsze – i nie przestały istnieć – słowa specjalne z taką intencją wypowiedziane, a częściej wykrzykiwane. Mają nawet odrębną nazwę – „złorzeczenia”. Oprócz złorzeczeń i przekleństw – rzucanych w celu upokorzenia, degradacji czy wręcz moralnego unicestwienia adresata – istnieją również życzenia, błogosławieństwa. W samym nazewnictwie kryje się zatem wiedza o ich pozakomunikacyjnym przeznaczeniu i oddziaływaniu, jakim może być poniżanie bądź podnoszenie na duchu. Wynika to z faktu, iż poza znaczeniem słowa ludzkiego języka posiadają również moc. Moc sprawczą, wskutek której „dobre słowa”, nawet nie poparte czynem, sprawiają rzeczywiste dobro: pocieszają, wprawiają w radosny nastrój, wzmagają przyjazne uczucia. Natomiast „złe słowa”, a już szczególnie przekleństwa i złorzeczenia, wyrażając nienawiść, pogardę, wstręt, niechęć, nie tylko poniżają, ale i zarażają nimi tego, do kogo są skierowane. Także – jakoby neutralne, do nikogo w szczególności nie adresowane „brzydkie słowa” – ordynarne, wulgarne, obciążone przeszłością bycia „nieprzyzwoitymi”, przyczyniają się do powstawania i natężania się swoistego „smogu językowego”. Nie wzbogacają one bynajmniej treści wypowiedzi, a jeśli nawet ich funkcją – jak chce Żelazny – jest ekspresja emocji, to w sferze wyrażania emocji także winna obowiązywać samokontrola. Złe, agresywne emocje bynajmniej nie muszą być objawiane publicznie. Dawniej do pisania brzydkich wyrazów przeznaczane były ustronne pomieszczenia – ubikacje. Dziś rezygnuje się z takich wydzielonych „językowych kloak”, jest coraz większe przyzwolenie na ich obecność również w sytuacjach publicznych: na trybunie sejmowej, w szkole, w filmach, powieściach, poezji. Rzec by można – nawiązując do powieści *Gnój* Wojciecha Kuczoka – iż „wybiło językowe szambo”.

Demokracja obejmuje wszystkie sfery życia, także dziedzinę posługiwania się językiem. W pierwszej, żywiołowej swojej fazie „demokratyzacja języka” realizuje się jako ściąganie go w dół. Prostacki, wulgarny, ordynarny język społecznych dołów, wyzwolony od wszelkich powściągów, stał się atrakcyjny dla „wyższych sfer”. Zły pieniądz wypiera dobry, złote monety zostają zastąpione pieniądzem papierowym, papier zaś makulaturą. Śmieci językowe święcą dziś triumf nie tylko w potocznych rozmowach, ale i w literaturze, która wskutek tego chyba powinna wyrzec się określenia „beletrystyka”. Miejmy nadzieję, że ta tendencja do równania popkultury (także językowej) w dół, określana przez Tadeusza Sławka jako „trywializacja”, to tylko dziecięca choroba demokracji, tego jej stadium, jakie Platon nazywał ochlokracją, czyli rządami motłochu. Motłoch oczywiście musi mieć adekwatne dla siebie środki komunikowania. Platon oso-

biście demokracji nie znoślił, sam będąc arystokratą z pochodzenia, sposobu myślenia i pisania. Ufał jednak, że w cyklu ustrojów społecznych po ochłokracji do władzy na powrót dojdzie arystokracja. Chciałoby się wierzyć, że przynajmniej arystokracja duchowa... Nadejście takowej arystokratycznej ery poznamy po tym, iż na powrót pocznie się tępić, wykpiwać i ośmieszać językowe prostactwo, tolerując je wyłącznie u osób kulturowo upośledzonych, a jednocześnie afirmować, podziwiać i starać się dorównać mistrzowskim wzorcom mowy i pisma – wzorom języka szlacheckiego.

Człowiek bowiem, według starożytnych, to nie tylko *homo sapiens*, ale też *homo loquens*. Mówi to, co i jak myśli. Jego zadaniem jest dochowanie wierności Norwidowskiemu imperatywowi: „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Brzydkim – brzydkie, pięknym – piękne. Czymś zgoła nierozumnym jest używanie szpetnych słów, gdy nie ma się do czynienia ze szpetotą rzeczy i zjawisk, a i brzydkie sprawy mogą być opisywane w sposób wyrafinowany. Nawiązując do – pięknej! – metafory cytowanego już Mirosława Żelaznego, warto się starać, aby „Anioł kultury” miał coraz mniej pracy w czyszczeniu językowego wysypiska, o jaki zabiega „diabeł”. Skoro „na początku było Słowo”, boskie Słowo, to człowiek jako stworzony na Boże podobieństwo, winien je szanować i pielęgnować. To on sam jest przecież twórcą i użytkownikiem tego cudownego narzędzia, w którym zaklęte są arcydzieła naszej kultury. Czy – mając i taką możliwość – naprawdę musi je kalać? Opluwać i „opluśkiwać” ohydnymi przekleństwami?